

WŁADYSŁAW ŻELICHOWSKI

Kpr. Władysław Żelichowski, ur. 25 czerwca 1908 r., pomocnik maszynisty PKP, żonaty;
11 Batalion Saperów Kolejowych.

Pierwszy raz byłem aresztowany razem z Wojskiem Polskim przy rozbrajaniu mego transportu, który wiozłem z Równego do Kowla, tj. 18 września 1939 r. Osadzono mnie w więzieniu w Równem. Po przesłuchaniu wszyscy koledzy kolejarze zostali wypuszczeni, mnie zatrzymali z powodu mego nazwiska – zarzucali mi, że jestem bratem pana gen. Żeligowskiego. Po kilkunastu dniach zostałem wezwany do prokuratora miasta Równa, gdzie zastałem kolegów świadków – Kanię i Adamca – ci wyjaśnili, że nazwiska są podobne, ale różnią się literami (ch i g), bo język rosyjski nie wymawia litery [h]. Po miesiącu zostałem zwolniony przez prokuratora Równego. Gdy opuszczałem więzienie, naczelnik wymuszał na mnie przyznanie się do prawdziwego nazwiska, grożąc, że Litwini i tak mnie zamordują.

Z rówieńskiego więzienia zostałem zwolniony 27 października 1939 r. Po powrocie z więzienia zastałem głód i rozpacz rodziny. Zmuszony więc byłem do pracy – pracy korzystnej, zatem [zająłem się] handlem. Po jakimś czasie władze sowieckie zapytały, co robię, bo u nich *kto robotajet, tot kuszajet* i proponują mi pracę na kolei w swoim charakterze. Widząc, co się święci, że mogą zamknąć, jak już było z innymi, postanowiłem pójść do pracy na kolej. Po przepracowaniu kilkunastu dni zadarłem się z politrukiem Zaczotnym i dyspozytorem Kozłowem w sprawach naszego ustroju państwowego itp. Przy jednej takiej sprzeczce o ich technice i o naszej doszło do awantury, w czasie której chwyciłem kałamarz, uderzając nim w pusty łeb i rozbiłem.

Do pracy [przestałem] przychodzić. Zacząłem się chować przed milicją, która po całych nocach i dniach nie dawała mi spokoju. Postanowiłem uciekać do rodziny żony do Warszawy, pozostawiając swoją własną. Zieloną granicę przeszedłem 5 grudnia 1939 r., dostając się do

Warszawy. Po naradzeniu się ze szwagrem i siostrą żony uchwaliliśmy, żeby ściągnąć żonę i dziecko z raju bolszewickiego.

Wybrałem się więc 25 stycznia 1940 r. z powrotem przez zieloną granicę i 28 stycznia zostałem schwytany przez Straż Graniczną z pomocą wieśniaka z tamtejszej wsi k. Jagodzina (nazwisko wieśniaka: Kuźma). Z Jagodzina wraz z innymi granicznikami odwieziono mnie do Włodzimierza Wołyńskiego do piwnic starej powiatówki, gdzie były składy węgla i drewna.

W tych piwnicach działy się straszne rzeczy. W małych celach siedziało po 150 osób. [Przez] spływające ściany wody, czyli ludzkiego potu, rozmnożyło się robactwo, tj. wszy, pluskwy i inne. Każdy tłukł na paznokciach do tysiąca sztuk dziennie. Wyżywienie było raz na dzień – owies lub pszenica ze zgniłą rybą i 300 g chleba. Po przesłuchaniu we Włodzimierzu 29 marca 1940 r. w wigilię Wielkiejnocy wywieźli nas w liczbie 240 osób do Hersonu [Chersonia?]. Przyjechalśmy 31 marca 1940 r.

Była to podróż straszna, o głodzie i chłódzie, bez wody, a ze słoną rybą. Był to dzień deszczowy i ponury. Po wyjściu z wagonu słyszało się krzyki *bojców*: „Stawać w rzędy i siadać na ziemię!” z wyrazami przekleństw. [Gdy] przyszliśmy do bram więzienia, pięć czy sześć czerwonych budynków zrobiło na 240 osobach[w tym] 30 kobietach, straszne wrażenie i [wywołało] płacz kobiet i dzieci, które kroczyły z tyłu pochodu okrążonego NKWD-zistami. Po wpuszczeniu do dużej sali więziennej odbyło się strzyżenie włosów, bród i badanie lekarskie. Łażnia [działała] całą noc. Rano na korytarzu [odbyła się] rewizja rzeczy i [chowanie ich] do magazynów – zabieranie zegarków, pieniędzy, obrączek itp. [Wsadzono mnie do] celi [nr] 70, II korpusu. W celi [dostaliśmy] śniadanie: herbatę, rybę i 600 g chleba. [Mieliśmy] tygodniowy odpoczynek.

Po tygodniu rozpoczęło się śledztwo (dochodzenie), zaczęło się ludziom życie katorgi [sic!]. Każdej nocy przychodzili z NKWD wraz z klucznikiem i wywoływali po literach („Czy jest tutaj na *bukwu* A, B, C, H...?”). Po dwóch – trzech godzinach na podwórku [i] korytarzu słyszeć [było] jęki i stęki, nieludzkie głosy i płacz kobiet i dzieci. Ja sam byłem na badaniu z dziesięć razy – zarzucano mi szpiegostwo i organizację, że idę przeciw władzy sowieckiej itp. Po biciu karano ciemnicą, wrzucając [do niej więźnia] gołego, oraz szufladą, kaftanem i innymi środkami. Nie przyznawałem się do niczego, tylko – jak zeznałem na pierwszym dochodzeniu we Włodzimierzu – [utrzymywałem], że służba mnie zmusiła być u Niemca, a teraz wracam

do żony i dziecka. Jednak bałem się, że jak sprawdzą, iż ja u nich pracowałem i pobiłem politruka, to będzie ze mną gorzej – ryzykowałem. Nic mi udowodnić [jednak] nie mogli, tylko przejście granicy, i zostałem zasądzony przez *trojkę*, czyli *osoboje sowieszczanije* na trzy lata trudnych [trudowych] łagrów.

Warunki w chersońskim więzieniu były straszne, higiena pod psem, lekarz raz na miesiąc, a jak kto zachorował, zabierali – albo wróci, albo nie. Wyżywienie: rano gorzka herbata; obiad: rozbełtana mąka lub soczewica – jeden litr, 600 g chleba; kolacja – pół litra tejże zupy. Brak wody. [W] celi 240 osób – zaduch i pot ludzki, rozmnażanie się wszy i pluskiew[*które*] żarły ciała ludzkie leżące na narach i cementowej podłodze.

Zaznaczam, że byłem karany mokrą ciemnicą, stojąc po kolana w wodzie [nieczytelne] za to, że połączyłem cele rurami od ogrzewania i podawaliśmy sobie wiadomości za pomocą [nieczytelne], jak gazety skradzione ([po drodze] na spacer) strażnikowi korytarzowemu lub śledczemu i innymi sposobami otrzymywaliśmy wiadomości ze świata – w ten sposób podtrzymywaliśmy się na duchu. W celi byli [w] większej liczbie Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Co starsi [z] Ukraińcami toczyli walkę, bijąc się, a potem [czekała ich] ciemnica. Z ciemnicy [trafiali] do szpitala.

Z Hersonu [Chersonia], ok. 25 sierpnia 1940 r., zostałem wywieziony do Kotłasu. Podróż trwała 20 dni z zatrzymaniem się w Charkowie. Podczas tej podróży działy się okropne rzeczy. Wyżywienie składało się z 500 g chleba, śmierdzącej ryby i wody z parowozu z braku [nieczytelne]. Z nastaniem nocy zaczynało się stukanie młotkami po ścianach wagonu. I *proverka: Pieriechodi na prawuju storonu*. Przeliczali, kopiąc nogą w... Rewizja łachów – korzystając z tego, złodzieje radzieccy kradli Polakom, co mogli. Toczyliśmy walki z nimi przez całą drogę, jak również i w łagrach, bo byliśmy specjalnie z nimi przemieszani.

Przyjechaliśmy do Kotłasu 15 września 1940 r. Z wagonu zabrano mnie do szpitala na *pieriesylnym* punkcie, gdzie byłem operowany przez polskiego lekarza z Warszawy. Po operacji leżałem w *stancjonarze* nr 2, gdzie był lekarz Węgier z Kijowa – Ozunow. Ten lekarz polubił mnie i po wyzdrowieniu zostałem w tymże *stancjonarze* [jako] sanitariusz. Znając dobrze język rosyjski, za protekcją tego lekarza zostałem *zawiedujuszczym*, czyli *zawchozem* całego szpitala składającego się z sześciu pałatek. W każdej takiej budzie leżało po 80 chorych, gdyż nary były piętrowe. Nieraz chory w gorączce rzucał się i spadał na ziemię,

zabijając się. Panowały choroby, jak tyfus, *ponos*, czerwonka, najstraszniejsza choroba to róża, bo człowiek puchł jak beczka, i inne choroby, co mogą stwierdzić lekarze, jak Kiełbiński z Zamościa, Mandelbaum z Pińska, st. sierż. Zabryk z Wilna (lekarz Rynkiewicz z Wilna zmarł). Wypadków śmierci na 24 godziny było od 10 do 20. Chowano nagich, a rzeczy i pieniądze zmarłych [szły] na skarb państwa – wszelkie formalności sam załatwiałem i miałem możliwość napatrzyć się, co się działo w tymże Kotłasie. Życie ludzkie nie przedstawiało żadnej wartości. Chcąc opisać wszystko, co się widziało i robiło, trzeba by było być jakimś wielkim pisarzem lub uzdolnionym człowiekiem.

Z Kotłasu wywieziony byłem 9 marca 1941 r. dalej na Północ, do Komi ASRR, na budowę żelaznej kolei, gdzie pracowałem jako pomocnik maszynisty. Łagier, do którego byłem przydzielony, nazywał się Knian-Poch [Kniażpogost], łagpunkt Kiłtowka [Kyltowo], *uprawlenije siewierożeleznoj dorogi*, tj. oddział północny drogi żelaznej. Warunki w tym łagrze były niegorsze i opieka lekarska jako taka, bo ci, co pracowali, to mieli techniczny kocioł i suchy prowiant. To [jednak] były jednostki, inni cierpieli głód. Ja sam pomagałem swoim ludziom, a było nas niewielu [nieczytelne] takim transportem, to się coś ukradło z prowiantu, jak mąka, kartofle, tłuszcze, mydło itp. Jak się kombinowało, to się żyło. Wszędzie musiała być sitwa, czyli *blat*.

Zaznaczam, że budowę kolei od Kotłasu do rzeki Peczory znam bardzo dobrze, [wiem,] gdzie są jakie mosty, odgałęzienia do portów rzecznych, zabudowania i wszystkie budowle, jak mosty składane [?] itp.

Wiadomości otrzymywałem od Polaka, obywatela rosyjskiego, gdyż był na wolnej wysyłce jako inżynier mostowy, nazwiskiem Januszewski. Tymi wiadomościami dzieliłem się z rodakami, spotykając się, jadąc w drogę, pomagając im innymi rzeczami – najwięcej mydłem i tytoniem, [które] ja z łatwością dostawałem.

Zwolniony zostałem 29 sierpnia 1941 r., otrzymując od zarządu łagru pieniądze na życie i bilet. Zmuszali mnie do pozostania u nich, obiecując mi dobrą pracę z wynagrodzeniem [w wysokości] dwóch tysięcy rubli. Po czterech dniach na siłę wydarłem się od nich, dostając na podróż 215 rubli. Więc [udałem się] na pociąg i do Tockoje. Tam 13 września 1941 r. zostałem przyjęty do polskiej armii, do 6 Batalionu Pancernego.

6 marca 1943 r.